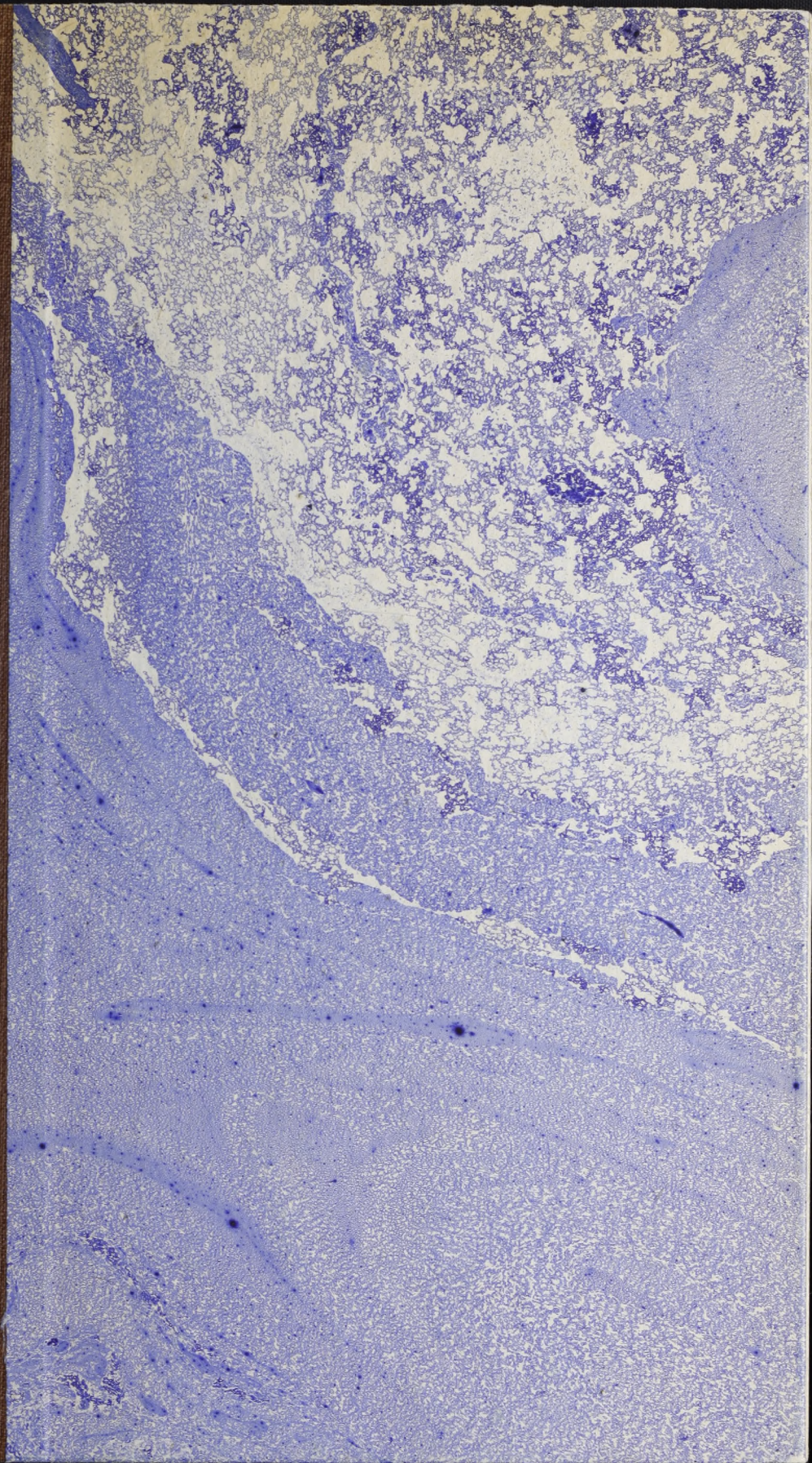


1514182





1.514.182

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001020067012

SZKOŁA BATINIOLSKA

w Paryżu.

W odległej dzielnicy Paryża, zamieszkałej przez ludność robotniczą i fabryczną, wśród ulic zatracających charakter stołeczny, w labiryncie zaśmieconych zaułków, odnajduje wreszcie wędrowny Polak cichą uliczkę, gdzie za wysoką bramą mieszczą się szczupłe dzisiaj zabudowania *Szkoły batiniolskiej*. Dziwny, smutny bardzo sentyment i jakieś rzewne wspomnienie polskiego romantyzmu wieje z tej nazwy.

Jest w niej pewien styl, taka zagrobowa literatura, nie mająca z realnym życiowym biegiem już nic wspólnego.

Wejdzmy.

Dwa schludne domki, w nich mieszkanie dyrektora, salon ozdobiony portretami poetów polskich i dobrodziejów zakładu, mała jasna biblioteka, a w niej, dawne jak wspomnienie dziecinne, książki: Rzewuskiego, Kraszewskiego, Jeża.

U wejścia pomnik Gałęzowskiego dłuta Godebskiego, a u stóp długoletniego dyrektora zakładu, tuli się nagie chłopię, symbol polskich, zrodzonych na obczyźnie dzieci.

W głębi, za małym dziedzińcem, który w godzinach rekreacji rozbrzmiewa francuskimi lub angielskimi okrzykami wesołych chłopaków, — szkoła.

Na ścianach gmachu dwie tablice, a na nich kilkadziesiąt nazwisk polskich. To wspomnienie na cześć dawnych uczniów szkoły, zmarłych w boju za niepodległość w 63—64 r. i zmarli za Francję w 70—71 r. bohaterowie Polacy, spłacający krwią po raz Bóg wie który, zaciągnięty dług wobec gościnnej ziemi francuskiej. W szkolnym budynku mieszczą się schludne i porządne



II 1.514.182

Wyd. Warszawa 1909.

sypialnie i klasy takie, jak mniej więcej wszystkie na świecie. W jednej z nich widzę na czarnej tablicy wypisane piekielne do wymówienia nie polskim gardłem ż, cz, sz, rz.

Jakże się nad niemi muszą biedzić te małe Francuziki o żywych buziach, o łobuzowskim typie paryskich *gaminów*, w których płynie trochę krwi dawnych bohaterów, dających czasami jednemu z nich w spadku, jasne oczy lub rozmarzone rysy Słowianina.

Nad całym zakładem unosi się atmosfera czegoś zapomnianego przez czas, trochę zamarłego, trochę muzealnego, a ponieważ jest to nie tylko pamiątka dawnych czasów, ale też być ma instytucja żywa, więc konieczne wtargnięcie w jej mury ruchu współczesnego i mus zastosowania się do chwili obecnej, czynią wrażenie dysonansu, przykrej niezgody.

Szkoła batiniolska dzisiaj sprawia takie smutne wrażenie, jest takim zgrzytem dla duszy polskiej, albo dla bardziej obojętnych ironiczną obserwacją.

A tym, co poznają historię tej szkoły dzieci emigranckich, rodzi się w myśli poczucie odwiecznego, dziejowego tragizmu narodu, którego najszczęśliwszym statutem duchowym są Księgi Pielgrzymstwa.

Tragizm ten, tak u nas pospolity, że sami dopiero w zetknięciu z cudzoziemcami spostrzedz możemy, jak nim przesiąknięta nasza literatura i nasz podkład duchowy, ten tragizm rzeczy przeżytych, wypisał na murach szkoły emigranckiej jedną z boleśniej ironicznym kart.

Pomyślmy o zasadzie i o historii tej polskiej idei.

Oto rok 1831 — kończy się w morzu krwi i łez powstanie, wygnani z rodzinnych pieleszy mężni synowie boleśnej ojczyzny. Ona im była ukochaniem największym i najświętszym, dla niej poświęcili życie i mienie. I z niej iść precz za to właśnie ukochanie zmuszają obce potęncje.

Więc z tą miłością, podniesioną bólem do egzaltacji, idą w świat krwawi bohaterowie; sypią się na nich w ich rozpaczliwym pochodzie wieńce i kwiaty, jak na dobrze umiających umierać gladiatorów. Miasta niemieckie, belgijskie, francuskie, owacyjnie przyjmują powstańców; Polak-tułacz staje się w literaturze romantycznej owych czasów typem z tkliwego romansu. Powstaje na ich cześć cała literatura, zrzadka błyskająca iskrami talentu lub szczerego uczucia, na ogół niesmacznie egzaltowana i sztucznie entuzjastyczna. Balzac pisze: *il etait Polonais donc noble et triste* i rzuca na rynek mody typ tragicznego wygnańca, otoczonego aureolą męczeństwa, typ, z którego wyradzał się czasami



pospolity *chevalier d'industrie*, wyzyskujący swoją niedolę, by w tkliwych sercach kobiet znaleźć pociechę, a kosztem łzawych opowieści, zasitek wiecznie pustych kieszeni brukowca.

Obce kobiety chętnie brały w kojące dłonie blade, zorane troską czoła polskich szlachciców, każdy salon miał swego emigranta, a domy mieszczańskie rade witały u swego stołu szlachetnie urodzonego cudzoziemca, przynoszącego w prozaiczną sferę interesów kupieckich, urok romantyczny walki o niepodległość, ruiny wielkich dóbr i obowiązku wdzięczności dla tych, których Napoleon z chytrą dobroduszością nazywał, w nagrodę krwi dla niego przelanej: *Ces braves Polonais!*

Powoli układały się stosunki emigracyjne w jakiś system i ład, powstawały gazety, stowarzyszenia, obozy, spory i partye. Okropna tragedia, żywa rana serca, echo strzałów i jęków rzezi, szaleństwo czynów rozpaczliwych i nadludzkich porywów, ucicha, zamienia się na drobną monetę osobistych spraw. Nie może być inaczej; organizm ludzki pojedynczy czy zbiorowy, opiera się cierpieniu instynktem żywotności.

Powoli więc tragedia zamienia się na romans, tęsknota do kraju na tęsknotę ogniska domowego, szlacheckie uczucie gościnnego dziedzica o domu otwartym, na chęć przyjmowania u siebie „emigranckim obiadkiem.“ Smutne serca Emigrantów łatwo znajdują chętne pocieszycielki w egzaltowanych naówczas mieszkańcach gościnnej, przyjaznej Francji.

Wyjść za Polaka było na ów czas czemś romantyzmem, trochę bohaterskiem nawet, ze szlachetną nutą bezinteresowności wobec biedy wygnańców, co w oczach praktycznych „burżujskich“ ojców stanowiło przeszkodę nielada, zwyciężaną jednak urokiem szlacheckiego herbu, oraz zdolnościami cudzoziemców, którzy często przygarnięci do francuskiej rodziny, wchodzili w nią, łącząc się z jej interesami i pomagając takowym z całym oddaniem się.

Kojarzyły się więc pary i wzrastały dzieci.

Zajęci utrzymaniem rodziny, pracą na chleb powszedni, w wolnych godzinach rojeniami co raz to mglistszymi o powrocie, przewrotach w kraju lub organizowaniu sił narodowych na obczyźnie, ojcowie usłyszeli pewnego dnia z boleśnem zdumieniem dzieci, swe dzieci tęsknoty i pogrobowych nadziei ojczyzny, mówiące obcą mową.

Mową matek.

Nic dziwnego — a jaki ból...

Co, więc cudzoziemcy mają wzrastać z tego właśnie pokolenia, które miłość ojczyzny rozwinęło do bohaterstwa?

Więc jeśli kraj wezwie synów, wnuków, okrzykiem „na pomoc!“ Nie odpowiedzą? Nie zrozumieją? Tak być nie mogło.

22 maja 1841 r. został spisany w Paryżu akt założenia „Stowarzyszenia Ojców rodzin polskich na wychodźstwie;“ podpisują się generał Dwernicki, A. Biernacki, gen. Szejde, Wincenty Tyszkiewicz, W. Chełmicki, M. H. Nakwaski, Stempowski, Słowaczyński, A. Gorecki, Kraiński, Stef. Niezabitowski i Michalski. Ludzie ci, widząc grożące już w pierwszym pokoleniu wynarodowienie Polaków na obczyźnie, wydają odezwę do rodaków, powiadając im o celach i zamiarach stowarzyszonych.

„Rodacy!

„Dziesiąty rok upływa, jak jesteśmy po za Ojczyzną, na obcej ziemi, a między nami młodsze nasze pokolenie albo dziećmi przybyło do Francji, albo na ziemi francuskiej zrodzone. Pokolenie to jest jak my polskie, ma zasilić przyszłość naszej Ojczyzny, powinno być całkiem narodowe: ono tymczasem zmuszone w braku szkoły właściwej, korzystać ze szkół francuskich, uczyć się w języku obcym, wzrasta pod wpływem nienarodowych wyobrażeń, odwyka od rodzinnego języka, nabywa cudzoziemskiego ducha, utracą swą polskość właśnie ze strony, która jest najżywniejszą wszelkiej narodowości, słowem ginie dla Polski.

„Podobna szkoła nie może być obojętną dla Polaków, poświęconych ratowaniu swej Ojczyzny; sądzimy nawet, że zapobieżenie jej zamienia się w powinność dla nich tem świętszą, im położenie kraju staje się coraz bardziej zagrożone zamachami wrogów, im większej nabierają ceny żywioły jej bytu, będące głównym celem nienawiści prześladowców.

„Pod tą myślą utworzone *Towarzystwo wychowania dzieci wychodźców polskich*, urzeczywistniając przyjęte przez siebie powołanie, zamierzyło założyć w Paryżu Instytucję dla dzieci polskich, mianowicie we Francji będących, pod nazwiskiem Szkoły narodowej wychodźwa polskiego, w którejby młodzież, oddalona od Ojczyzny, mogła się wychowywać w duchu zupełnie narodowym i ukształcić się na obywateli użytecznych swojemu krajowi, w każdym jego położeniu.

„Rzeczzone Towarzystwo, ożywione tym celem, urządziwszy się stosownie, ułożyło następny program i śpieszy podać go do wiadomości powszechnej. Przez to ogłoszenie zamiarów Towarzystwa i planu przyjętej szkoły, spodziewa się znaleźć u rodaków potwierdzenie swego narodowego przedsięwzięcia, oraz uzyskać ich wsparcie i współdziałanie.

„Nie tajne są Towarzystwu zawady i trudności, podobnemu dziełu towarzyszące; mimo to, silne ma postanowienie wytrwać w pracy, aż do wyczerpania wszystkich środków w jego mocy będących i ma wiarę, że ją do skutku przyprowadzi, byleby rodacy szczerze wesprzeć je chcieli.

„Nie jego będzie wina jeżeli upadnie, pozostanie mu przeświadczenie, że myślało o dobru Polski i robiło dla niej co tylko czynić było w stanie.“

W ślad za tą odezwa, przygotowującą opinie publiczną do projektu założenia szkoły, wydaje Tow. wychowania narodowego dzieci wychodźców polskich, 22/IX 1841 drugą odezwę, obejmującą szczegóły programu szkoły i zwracającą się do rodaków w kraju i za granicą z prośbą o poparcie. Dla tych ludzi oddalonych od ziemi ojczystej, tęskniących do niej z całym entuzjazmem poświęcenia, myśl stworzenia na obczyźnie ogniska, z którego nowe dla Polski mogłyby rosnąć siły, z dalekich krańców kędy niemi los rzucił możliwość wysyłania ku ojczyźnie jednostek ożywionych tym samym co oni duchem, to stało się dla emigrantów z 31-go roku hasłem do pracy w ściśle określonym kierunku: ochronić od wynarodowienia dzieci bohaterów i powrócić je, jako dojrzały do czynu materiał—,na Ojczyzny łono.“

O potrzebie wychowania narodowego tak się wyraża odezwa Towarzystwa: „Wychowanie dzieci wychodźców we Francji jest całkiem cudzoziemskie, konieczna ich przyszłość wynarodowienie się. Tymczasem są one także Polakami i należą do przyszłości naszego narodu. Mała to wprawdzie jego cząstka, ale i najmniejsza powinna być dzisiaj drogim skarbem, a my będziemy kiedyś powołani zdać sprawę z jego użycia.“

Chcąc urzeczywistnić projekt szkoły polskiej, zbierają członkowie Towarzystwa fundusze, a zarazem robią starania u władz odpowiednich o zatwierdzenie projektu i oddanie zakładu pod opiekę rządu francuskiego.

Niebawem też Rouselle, inspektor i administrator Akademii paryskiej zawiadomił oficjalnie, że minister oświecenia projekt szkoły dla Polaków zatwierdził, oraz zapomogę obiecał. Finansowo popierają szkołę Dwerniccy, urządzają się koncerta na dochód nowego zakładu, a wreszcie Ledóchowski Jan, jeden z Emigrantów, ofiarowuje na założenie szkoły 50,000 fr., z tem można było zacząć.

Nie mogąc atoli, dla braku odpowiednich funduszy, umieścić się we własnym lokalu— polska szkoła zamieszkuje Instytut p. Chapusot w Châtillon sous Bagneux, o pół mili od Paryża,

i tam, korzystając z francuskich wykładów na równi z uczniami francuskimi, tworzy swój osobny oddział, złożony z początku z 18, potem z 27 uczniów. Mają oni osobne swoje locum, nauczyciela i dozorcę, Polaków, obowiązującą rozmowę polską przy stole i w czasie rekreacji, oraz wykłady polskie. Program nauk dość obszerny, ze szczególnem uwzględnieniem nauk przyrodniczych i połączonych z niemi wycieczek naukowych.

Nie zaniedbują też ćwiczeń wojskowych, oraz nauki strategii, poświęcając tydzień wakacyjny miernictwu i zdejmowaniu planów w jednej z okolic Paryża. Wykład przedmiotów polskich obejmuje 8 godzin, co pół roku obowiązujący popis przed ciałem pedagogicznym.

Kary cielesne są wyłączone, co zważywszy, że były w powszechnem użyciu, stanowi objaw uczuć postępowych ze strony Polaków; wiek przyjęcia nie mniejszy jak lat 8 i obowiązująca umiejętność czytania i pisania po polsku, lub po francusku. Czas trwania nauki 3 lata, opłata roczna najmniej 100 fr., całe bowiem utrzymanie kosztuje 700 fr. Dla przyjęcia trzeba wymienić służbę krajową ojca i jaki stan rodziny na tułactwie?

Niektóre szczegóły programu, dążące do przypominania na każdym kroku tym dzieciom, zrodzonym na obczyźnie, ich Ojczyzny, której może mieli nigdy nie ujrzeć, niektóre przepisy są wprost rozrzewniające: np. strój ucznia szkoły polskiej ma się składać z całkowitego ubioru, t. j. z tak zwanej *kościuszkowskiej*, narodowej sukmanki i pantalonów do ubioru i wyjścia na miasto, czapka polska z daszkiem do wyjścia, a furażerki do powszedniego użytku, wreszcie: *le pain de seigle étant habituel en Pologne, sera cuit dans la maison.*

W 1842 r. 29 listopada następuje uroczyste otwarcie szkoły w Châtillon—Andrzej Słowaczyński zostaje jej sekretarzem, Dwer-nicki, Ledóchowski, Biernacki i Kraiński są w Radzie pedagogicznej. Rozpoczynają się nauki z 18-tu uczniami, u których po pierwszym kwartale sprawozdanie szkolne stwierdza, że „przybyli z zupełnym prawie brakiem dobrego wymawiania po polsku.“

Nauki polskie obejmują więc wymawianie, czytanie, pisownię, gramatykę, geografję narodową i historję, a co czwartek religję. Z rozmaitych miast Francji przysyłają swych synów Polacy do narodowej szkoły polskiej. Z Tours, Poitiers, Besançon, Angoulême, z Havru i Orleanu, gdzie tylko burza polityczna zaniosła rozbitki rewolucyi, płynęły prośby; płynęły też i ofiary.

Już w roku 1844 przenosi się szkoła w liczbie 35 uczniów (30 internów i 5 bezpłatnych eksternów) do własnego lokalu

w Paryżu przy ulicy Fosses S-t Jacques № 13. Wszystko w nim jest polskie, nawet usługa. Dyrektorem zostaje Ksawery Bronikowski, vice-prezydent miasta Warszawy w 1831 roku, nauczycielami miejscowymi Biliński i Domański. Szkoła dzieli się na dwie klasy, wyższa, w liczbie 21 uczniów, chodzi na nauki francuskie do College Henry IV, rozproszona tam w trzech klasach. Z darów i zakupów tworzy się dla szkoły biblioteka, do której Lelewel ofiarowuje 12 egzemplarzy dzieła swego: *Dzieje Polski potocznie opowiadane*, oraz atlas historyczny Polski. Z kraju nadsyłają wciąż pieniężne ofiary, zamożniejsi rodacy płacą wpisy za synów emigranckich i rozwój internatu polskiego zaczyna się zapowiadać pomyślnie, a mimo szczupłych funduszków działać przewidłowo, oraz w duchu założenia.

Jednocześnie jednak z rozwojem jego działalności rozpoczynają się swary i głosy nieprzyjacielskie, prywatne plotki i gazetarskie kłótnie. Całe zastępy ludzi bez zajęcia, zgorzkniałych, szukających zarobku lub upustu swej żółci w jaki bądź sposób, rzuciły się na młodą instytucję z niepowołaną krytyką. Szpalty „Echa miast“ i „Trzeci maj,“ pisma, zostającego pod redakcją niejakiego Czyńskiego, używającego bardzo złej opinii, wypełniają się skargami ojców, nauczycieli, dobrodziejów etc. osób interesowanych w losach zakładu. Rozwodzą się w drobiazgowych kłótniach, cytując słowa tych lub owych, zaprzeczano sobie i tworzą z dziwnym amatorstwem burzę w szklance wody.

Inne pismo emigracyjne, demokratyczny „Orzeł biały“ całą winę tych waśni zrzuca na „Czartoryszczyków,“ na intrygi i zazdrości tego widma czy pantominy dworu, która mieściła się w Hotel Lambert z „królem polskim,“ jak nazywano Adama Czartoryskiego, na czele.

Przypisywano niechęć klientów domu Czartoryskich tej okoliczności, że nie z Hotelu Lambert wyszła inicjatywa założenia szkoły i nie pod jego możnowładczą powstawała egida. Już więc z zasady patrzano na nią z murów pałacu na Quai d'Orléans krytycznie. Zresztą żywioły intryganckie posługiwały się tu, jak nieraz w czasie Emigracji, firmą domu Czartoryskich, kompromitując osobę ks. Adama i jego dobre intencje.

Zatargi i matactwa dochodzą do tego stopnia, że przeciwnicy szkoły wydają oddzielną broszurkę, mieszczącą różne skargi i napaści na szkołę, listy, przedruki z „Echa miast,“ krytykujące zakład pod względem porządku i higieny, a nawet rzucające cień na dokładność rachunków zarządzających funduszem publicznym. Na ten paszkwil Rada szkolna odpowiada protestem, sy-

pią się polemiki po gazetach polskich, których naówczas wychodziło trzy: *Echa miast*, zdające sprawę z losów wygnańców we wszystkich zakątkach Francji; *Orzeł biały*, organ demokratyczny oraz zaprzysiężony tegoż przeciwnik — *Trzeci maj*. Prócz tego wychodziły peryodyczne sprawozdania z czynności szkoły polskiej i naturalnie niezliczona moc broszur, odezw, ulotnych świstków, służących prywatnym niechęciom.

Wreszcie po mglistych pogrózkach przeciwnicy szkoły doprowadzają swój zamiar do skutku: mianowicie udają się ze skargą do francuskiego ministra oświaty, uświadamiając o rzekomym złym stanie higienicznym, naukowym i moralnym szkoły. Minister zwrócił się listownie do J. Dwernickiego, prosząc go o udzielenie mu objaśnień co do stanu zakładu, będącego przecie pod protektoratem i subwencją rządu francuskiego. Na to wezwanie dziesięciu członków Rady z prezesem Dwernickim na czele przesłało Ministerium obszerną odpowiedź, odpierając zarzuty, czynione im przez rodaków, zaznaczając, że autorowie broszury mają swych synów w szkole i mimo tak ostrej krytyki jej systemu wychowawczego, nie objawili chęci zabrania ztamtąd dzieci.

Na prośbę Rady, pragnącej i w oczach rządu francuskiego i w oczach rodaków oczyścić się z zarzutów, przysłano z Ministerium p. Demayencourt, członka Komitetu szkół elementarnych w Paryżu, dla dokonania rewizyi.

Ta wypadła tylko na korzyść szkoły i delegat zupełnie pochlebnie wyraził o niej zdanie w komunikacie do Ministra zwróconym. Niebawem też nadszedł z Ministerium list do Dwernickiego, oddający hołd zabiegom Polaków w utrwaleniu ducha polskiego w swych dzieciach, utrzymując ich narodowość. Dodaje zaś minister, że polecił prefektowi policyi, upoważnionemu do wypłacania zapomogi rządowej (dla 50 uczniów po 450 fr. rocznie) by „najsurowiej napomniał indywidua, które położyły swój podpis na tak nadzwyczaj nagannej publikacji.“

Tem się zakończyły te niesmaczne i gorszące polemiki.

Zdawało się, że teraz losy szkoły mniej więcej zabezpieczone materyalnie, ustalą się i wejdą w fazę spokojnego rozwoju. Przeprowadzono różne szczęśliwe reformy, lokal przeniesiono na Boulev. Monceau i powiększono program nauk polskich, do czego wezwano nowe siły pedagogiczne w osobach Mierosławskiego do historii polskiej, Pfeifera do historii powszechnej i geografii. Utrwała się systematyczność w przeprowadzeniu zasad założenia, liczba uczniów wzrasta i szkoła wchodzi na drogę rozkwitu swej działalności.

Uznaje to rząd francuski, posyłający delegata na każde pisy szkoły, i popierając szlachetne usiłowania Polaków podwyższa swą subwencyę do hojnej kwoty 45,000 fr. rocznie.

Intrygi jednak przeciwników ucichły tylko na czas krótki i znów we francuskich i polskich pismach zjawiają się uwagi dotyczące się tym razem moralnego kierunku szkoły. Zarzucano ludziom, stojącym na czele Instytucyi, zbyt demagogiczne oraz bezreligijne dążenia, denuncyowano wprost, że działającym żywiołem w zakładzie jest rewolucyjne Tow. Demokratyczne i ostrzegano przed tak zgubną propagandą Polaków i rząd francuski. Dążenia zaś tego ostatniego były zbyt konserwatywne, by mógł popierać instytucyę, mającą rzekomo hodować przyszłych Jakobinów.

Organ monarchiczny *Trzeci maj* występuje znów z zarzutami i osobistemi wycieczkami przeciw dyrektorowi szkoły, Malinowskiemu, nazywając go wprost komunistą, przeciw Dwernickiemu i członkom Rady, oskarżając ich, że protegują Tow. Demokratyczne, co było tak dalece fałszywem, że wyż wspomniane osoby należały właśnie do „Zjednoczenia,” towarzystwa, będącego przeciwnikiem Tow. Demokratycznego.

Wszystkie te zarzuty, wynikłe raczej z nieustannej pasyi do „komażów,” będących plagą emigracyi, niż z istotnej racyi, potrafiło Tow. Wychowania Narod. odeprzeć szczęśliwie wobec ich bezzasadności i spory nie przeszły poza dziennikarskie szpalty.

Jestto obecnie (lata 1845—47) epoka prawdziwej świetności szkoły i naogół Emigracyi. Pełne goryczy chaotyczne waśnie początkowej epoki, ciągle, namiętne a bezcelowe sejmikowania ustają, by przybrać realne kształty szczęśliwie rozwijających się Towarzystw naukowych, jednoczących swe działy pod ogólną nazwą Towarzystwa literackiego, zajmującego się historyczną przeszłością Polski, oraz utrzymującego stałe biura, informujące obce rządy o obecnym jej stanie.

Mimo burzących się i ciągle gotujących do wybuchu fermentów rewolucyjnych, Francya cała zdaje się rozkwitać i wzrastać finansowo, dzięki wzmoczonemu rozwojowi handlu z powodu przeprowadzonych sieci kolei żelaznych, jako też zaprowadzenia świeżo wynalezione go telegrafu. Dobrobyt i bogactwo kraju koncentruje się w stolicy, jaśniejącej blaskiem zabaw, rozkwitem sztuk pięknych, teatrów etc. W tych ostatnich nie grano już co prawda, jak przed dziesięciu laty, pantomin-féeries „Les Polonais” z apoteozą obarczonej kajdanami Polski, gdyż burżuazyjny rząd Ludwika Filipa niezbyt chętnym spoglądał okiem na wieczyście fermentujący element, o którym Talleyrand powiedział, że wszę-

dzie wnosi nieporządek, ale mimo, że moda na Polaków trochę przeszła, życzliwość, szczególnie żywiołów młodszych i postępowszych, nie ustaje. Wyraz tej sympatii daje młodzież francuska, składając w r. 1845 na ręce ks. A. Czartoryskiego adres współczucia z powodu prześladowań religijnych pod zaborem rosyjskim. Obecność naówczas w Paryżu męczeńskiej Makryny Mieczysławskiej rozplómiła umysły i literaturę, która wydaje broszury i wiersze na cześć „polskiej męczennicy.“

Szkoła batiniolska zjednywa sobie coraz większe sympatyje. Aloizy Biernacki, jeden z członków Rady, proponuje udzielanie tytułu członka honorowego Towarzystwa wychowania narodowego, by tem zjednać sobie życzliwość, poparcie i pomoc pieniężną w osobach przychylnych Polakom cudzoziemców.

Pierwszym zostaje poeta Beranger, za ofiarowanie do zbiorów szkoły motyki pamiątkowej po Kościuszcze, której wódz używał, mieszkając w okolicach Fontainebleau. Później dostali ten tytuł: Adillon, Barrot, Lamartine, Guimard, Mikołaj Turgieniew i inni.

Liczba uczniów dochodzi do 140, postęp w naukach dobry, a dwaj po sobie następujący dyrektorowie, z których każdy był duszą całą oddany zakładowi, choć każdy w inny sposób, nie mało się przyczyniają do rozwoju szkoły w kierunku przez program określonym.

Stanisław Malinowski, zostający na stanowisku dyrektora przez rok 1846, potem zaś od 1855 do 1890 r., wywarł odrazu silny wpływ na otoczenie. Był to duch wojskowy w całym znaczeniu tego wyrazu. Rodem z Kieleckiego, z uniwersytetu idzie w 1831 r. do powstania, w pułku strzelców Szembeka zawiaduje kasą wojskową; po bitwie pod Ostrołęką i wzięciu Warszawy przechodzi z Rybińskim granice Prus, a ztamtąd rusza do Galicyi, gdzie przebywa do 1837 r. ciągle spiskując. Bierze gorący udział we wszystkich stowarzyszeniach, mających na celu zmartwychwstanie Polski i jest wodzem terrorystycznej (w ówczesnem pojęciu) partyi, *Konfederacya*.

Zbyttnia ruchliwość młodych spiskowców zwraca na nich uwagę rządu austriackiego i liczne aresztowania oraz więzienie w Kufsteinie kładą kres ich nadziejom. Po zmienianiu miejsca pobytu, ukrywaniu się i bronienu wszelkimi siłami przeciw ekspatryacyi, Malinowski widzi się zmuszonym wyjechać do Francyi i tu dzielić dolę i niedolę braci emigrantów.

W owym czasie (1839 r.) było Polaków we Francyi 5,000. Rozmieszczeni w miastach zwanych *Dépôts* (w Besançon, Bourges,

Chateauroux, Avignon) pobierali od wdzięcznej Francji, lubiącej się wówczas nazywać drugą Matką, lub starszą siostrą męczeńskiej Polski, żołd, t. j. zapomogę, jako kompensatę za... niedotrzymane obietnice Napoleońskie.

Zapomoga ta była tak mała (od 22 — 250 fr. dla oficerów wyższej rangi), że każdy z emigrantów, o ile się nie oddawał absorbującemu zajęciu warcholstwa, szukał zarobku w gałęzi dla siebie stosownej.

Malinowskiego wezwano do szkoły z powodu surowej karności jego charakteru; zadaniu temu odpowiadał zupełnie. Oddaje się całą duszą powierzonym obowiązkom, bierze uczniów w twardą rękę systemu i surowej dyscypliny. Sam żyje, jak asceta i wertuje w chwilach wolnych od zajęć z uczniami dzieła teologiczne, robiąc z nich liczne i nieustanne notatki.

Uczniowie nie lubili tej postaci drobnej, suchej, o długiej brodzie i niemodnym surducie, która wisiała nad nimi o każdej porze; przezywali go „Żydek.“ Malinowski więcej budził w nich strachu niż miłości.

Rzecz się miała zupełnie inaczej z Hipolitem Klimaszewskim, w którego ręce „godniejsze,“ jak się sam wyraził, złożył po roku swój urząd Malinowski, zatrzymując sobie miejsce zarządzającego.

Klimaszewski stanowił zupełną antytezę poprzednika; mniej rozumny i mniej wykształcony, mimo pewnych czysto polskich wad bezładu i nietaktu, potrafił, dzięki dobroduszości i umiejętności w zjednywaniu serc młodzieży, zyskać sobie niebawem niezmierną między nią popularność i, jak nikt przedtem, ani potem, wlać w sfrancuziałe serca wychowañców szkoły batiniolskiej ducha istotnie polskiego, nie sztucznie zaszczipionego, ale żywotnego.

Urodzony w Pińszczyźnie, nauki pobierał Klimaszewski w liceum Krzemienieckim i czas jakiś zajmował się nauczycielstwem w Lubarze na Wołyniu, z ramienia ks.ks. Bazylianów, do których zakonu miał wstąpić, wreszcie udaje się do Wilna i tam przenika go nawskroś cudowna atmosfera filarecka. Ta epoka miała na całe jego życie wywrzeć wpływ niezapomniany i głęboki, oraz dać mu tę bezwzględną miłość Polski, patriotyzm bezkrytyczny i idealizm, z którym się nie rozstał do końca życia i mocą gorącego uczucia umiał to samo umiłowanie wpajać w uczniów na obczyźnie.

Za czasów wileńskich pisywał liczne artykuły literackie, umieszczane w „Dzienniku wileńskim“ i tworzył piosnki o nastro-

ju patryotycznym, znane i śpiewane w całej Litwie, np. „Dosyć bracia w kącie siedzieć“ i innych wiele.

Wypadki 1831 roku wypędzają go z kraju, znajduje się w Paryżu z wizją ojczyzny w oczach, a miłością bez skazy w sercu.

Taki człowiek, zostawszy kierownikiem szkoły, mającej za cel *narodowe* wychowanie młodzieży, za najgorętsze sobie stawia zadanie wlać w chłopaków cały ogień zapału, jaki mu w sercu płonie. Za jego dyrektorstwa poczuła dopiero ta młodź sfrancuziała polską w sobie krew, zrozumiała, że jest tylko chwilowo na ziemi francuskiej, że ich ojczyzna jest tam het na północ, w kraju mniej pięknym, mniej bogatym, ale godnym miłości i uwielbienia bezgranic za mękę i bohaterstwo.

Potrafił „Klimasz,“ ukochany wnet przez uczniów profesor, dający bezinteresownie po kilka godzin języka polskiego dziennie, wpoić im to poczucie czuwania i bycia zawsze na pogotowiu, na wylocie niejako.

Hodował ich na Polaków i dla Polski tylko. Nie miał na celu utylitarne ich kształcenia lub zastosowywania do obcych warunków, ale ideowe ukochanie dalekiego kraju.

I ten zakamieniały w bólu i miłości Litwin, jak go we wspomnieniu nazywa wileński jego uczeń, Kraszewski, potrafił tym dzieciom z matek obcych najczęściej, ale o krwi bohaterów, dać pojęcie Polski żywe, codzienne niejako.

Czytywał im „Pana Tadeusza“ i gotował kołduny, śpiewał „Pieśni o ziemi naszej“ i o każdej dzielnicy Polski opowiadał żywe, barwne anegdoty. Polska wyszła dla tych dzieci z kartek książek i kart geograficznych i zamieszkała wśród nich żywa, swojska, własna. Poczuli się jej przynależni duchem.

Postępy w ogólnych naukach są zadawalniające, a uroczyście odbywane popisy, okraszone zawsze mową któregoś z poważniejszych emigrantów i obecnością delegata rządu francuskiego, wykazują dobre postępy nie tylko w szkole polskiej, ale i w naukach francuskich.

Szkoła więc w stanie moralnego i materyalnego rozkwitu dochodzi do roku 1848. Rozpoczynają się zaburzenia w Polsce, cała środkowa Europa podminowana spiskami, przejęta w szerokich warstwach ludowych i inteligencji zasadami wolności, gotuje się do wybuchu. W lutym następuje w Paryżu wybuch rewolucyi, rozchodzącej się jak hasło do rozszerzenia praw ludu po całym świecie. W Polsce na nowo świtają nadzieje, ufność w poparcie mas ludowych, będących w całej Europie w zatargu z własnymi rządami, podnieca nadzieje polskie. We Francji mamy przy-

jaciół gotowych walczyć w szeregach polskiej partyzantki, formują się komitety, wezwania do formowania oddziałów wolontaryuszy na pomoc powstaniu polskiemu. Pierwszego dnia zapisuje się 5,000, drugiego 15,000 — wyruszają pod wodzą Chojeckiego, Charles Edmonda, inni umykają pojedynczo.

Szkoła batiniolska przejmując się patryotycznym duchem, ale też pustoszeje: kolejno opuszczają klasy profesorowie Kwaskowski, Jaroszewski i inni, potem ulatują chłopaki lat 16-stu 17-stu. Cała prawie klasa 4-ta: Fijałkowski Bol., Rosiorowski Ant., Morawski Szym., Płuszewski Walery, Strzembosz Michał, Szypowski Karol, Wrotnowski Stanisław, Ziemecki Ignacy, porzucają szkołę i wracają do kraju „zwyciężyć lub zginąć.“ Reszta zabiera się gorliwiej jeszcze do nauki polskiego języka, teraz, kiedy powrót do kraju jest już tak pewny i bliski!...

„Malinowski, nawet surowy Malinowski, wpadł w gorączkę rewolucyjną i pono śpiewał na całe gardło marsylianekę w dziedzińcach szkoły“ — mówi W. Gasztowtt we wspomnieniach szkolnych, ogłaszanych w „Bulletin polonais“ 1 oct. 1891.

Ze wzmagającym się nastrojem podniecenia następują manifestacje uliczne, kilku nadzorców szkoły bierze udział w rozruchach. „Weszli z ludem do Tuilleries i tam widzieli, jak publicysta i poeta Krystyn hr. Ostrowski, autor „Łez wygnańców“ i „Listów słowiańskich,“ a późniejszy hojny ofiarodawca szkoły, grał na fortepianie królowej Maryi Amelii marsylianekę przy okrzykach: „Niech żyje Polska, Francya i Republika.“¹⁾

Przy uroczystym pogrzebie ofiar rewolucyi, szkoła polska bierze udział w pochodzie w strojach narodowych i ze swoim sztandarem, na którego widok sympatyzujące, przyjazne okrzyki *Vive la Pologne* wybuchają w tłumie. Robotnicy paryscy urządzą młodzieży polskiej owacye i wydając okrzyki na cześć braterstwa ludów, odprowadzają uczniów do szkoły śpiewając Delavigne'a *Il est levé, voici ce jour sanglant* (oto dziś dzień krwi i chwały).

Na dziedzińcu szkoły zasadzają drzewo wolności, a dyrektor, poczciwy „Klimasz,“ wierny zasadzie polskiej gościnności, traktuje winem przyjaciół Francuzów.

Polityka, gorączkowe nadzieje, rychło coraz gorsze i beznadziejne wieści z kraju, to wszystko czyni przerwę w naukach. Powoli jednak wracają rzeczy do normalnego stanu i w 1851 r., gdy Adam Mickiewicz zostaje prezesem Rady szkolnej, znów stan

¹⁾ Wspomn. Gasztowtta.

jej naukowy i finansowy jest bardzo dobry. Za poradą Adama Mickiewicza, który synów swoich też w szkole umieszcza, wprowadzonym zostaje zwyczaj uczestniczenia „batiniolczyków“ na wszystkich nabożeństwach za poległych generałów wojsk polskich, oraz na obchodach narodowych, co się do dzisiaj utrzymało. Klaczko zostaje profesorem literatury polskiej, wykłada jednak raczej jak poeta, niż jak uczony profesor. Pod zarządem skarbnika Seweryna Gałęzowskiego i Rady, w której się znajdowali ludzie jak Bohdan Zaleski i Mickiewicz, losy szkoły zdawały się zapewnione. Atoli rząd francuski, mimo republikańskiej formy, niechętny wszelkim, zbyt postępowym ruchom społeczeństwa, cofa raz po raz, pod pozorem ciężkich przejść finansowych, subwencję udzielaną szkole; najprzód częściowo, a w roku 1851 zupełnie.

Silne podejrzenia za poduszczanie rządu przeciw rzekomo rewolucyjnym prądom szkoły, padają na J. B. Ostrowskiego, znanego w Emigracji pod nazwą „Żybusia,“ mającego wpływ i czynne stanowisko w prefekturze policyi i na ogół przez lat kilkanaście sięjącego wśród Emigracji paszkwile, dotyczące takich nawet ludzi jak Adama Mickiewicza, oraz insynuacje, lotne odezwy, artykuły w „Nowej Polsce,“ bałamucące opinię publiczną i wadzące i tak łatwych do niezgody i sporów Polaków.

Kłeska ta materyalna nie długo nęka szkołę polską, gdyż wraz z ogłoszeniem cesarstwa, Napoleon III przywraca subwencję, za staraniem Ks. Branickiego, a dzięki pomysłowi Gałęzowskiego, by zaprosić wstępującego na tron monarchę na opiekuna szkoły.

Ani ta opieka, ani bardziej jeszcze wstawiennictwo Branickiego, nie podobały się czystym patriotom, widzącym w tem początek wprowadzania w kierownictwo szkoły elementów obojętnych polskości.

W tym czasie jednak szkoła dostaje się w ręce człowieka, który przez lat kilkadziesiąt będzie odtąd kierował bezspornie jej losami. Człowiekiem tym jest d-r Seweryn Gałęzowski, wprowadzony do Rady szkolnej z polecenia Mickiewicza; niebawem zostaje on prezesem Rady. Był to emigrant z 1831 roku, w którym pełnił służbę chirurga, a zrobiwszy olbrzymią fortunę w Meksyku przybył do Paryża, by, jak sam opowiadał, majątek i osobę oddać na usługi rodaków.

Zdania o Gałęzowskim są tak rozmaite i sprzeczne, że właściwego pojęcia trudno sobie wyrobić. Można się zgodzić na jedno, że był ambitny i, wzięwszy w opiekę szkołę, bardziej troszczył się o jej świetny wygląd, ilość uczniów (liczba ich doszła

w 1867 r. do 310), ich postępy i tryumfy w liceach francuskich w Sorbonie, gdzie na konkursowych egzaminach zdobywali nagrody, niż o istotnego ducha szkoły, która miała być polską, hodującą dla Polski — Polaków.

Jednak trudno zupełnie potępiać, albo się dziwić temu utilitaryzmowi: lata szły, powrót do kraju dla wszystkich odsuwał się coraz w mgłę marzenia, a więzy rodzinne, otoczenie, zajęcia, wchłaniały powoli rozproszone rodziny pół polskie, pół francuskie, wynaradawiając je coraz zupełnie.

Stało się wobec zadania: czy hodować dzieci w sztucznej atmosferze nadziei, może nie mających się ziścić i duszę ich utrzymywać w dalekim od otoczenia świecie, czy wychowywać je na dobrze uzbrojonych naukowo obywateli kraju, będącego właściwie ich krajem rodzinnym, aczkolwiek powtarzano im wciąż, że nie był ich ojczyzną.

Gałęzowski wybrał kierunek, który uważał za praktyczniejszy i bardziej zgodny z okolicznościami, nie zważając, że w ten sposób zbacza z drogi, zakreślonej niegdyś programem Szkoły polskiej.

Już w r. 1853 J. Jedliński, jeden z profesorów szkoły, w broszurze *O wychowaniu dzieci wychodźców polskich*, poświęconej Zamoyskiemu, w tonie łagodnego ubolewania stwierdza, że dzieci opornie się stawiają co do nauki polskości i „aby wstręt dzisiejszy do języka polskiego od uczniów szkoły batiniolskiej oddalić i pociągnąć ich ku mowie ojczystej,“ radzi różne oryginalne środki ojcom rodzin, np. wymaganie, aby dziecko żądało potraw tylko po polsku, a w przeciwnym razie aby ich nie otrzymywało. Poza tem w Szkole proponuje ordery, oznaki honorowe za język polski, miejsca honorowe u stołu, poleca założenie dla uczniów *Bractwa języka polskiego*, z całym nadzwyczaj skomplikowanym systemem hierarchicznym, pilnowaniem rozmowy po polsku, łapaniem na gorącym uczynku nie mówienia językiem, który sfrancuziali chłopcy powinni byli uważać za rodzinny, wreszcie szeregiem śmiesznych kar, jako to czapka papierowa z nadpisem: *Pamiętaj, żeś Polak* i t. p.

Ale dzieciom ani się śniło iść za prądem, który im narzucano.

Natomiast broszura, acz bardzo spokojnie i raczej w tonie ubolewania, niż potępienia mówiąca o zatracającym się duchu narodowym w Szkole batiniolskiej, wywołuje protesty ze strony party Gałęzowskiego i podejrzania, że jest „inspirowana“ przez hr. Zamoyskiego, który protektorat i wpływy w Szkole dla siebie chce zagarnąć.

Jednocześnie prawie, bo w tym samym roku, ukazuje się broszura, odsądzająca od czci, od wiary Gałęzowskiego, a będąca dziełem „Żybusia“ Ostrowskiego. Zarzuca on opiekunowi Szkoły szereg przestępstw w kierunku antypolskim, podniesienie opłaty wstępu z 200 fr. na 500, szafowanie groszem emigracyjnym samowolnie, nawet używanie na cele osobiste składek, płynących z kraju, o które ciągle zabiega, podawanie się przytem za dobrodzieja i ofiarodawcę Szkoły, właściwie zaś podnoszenie bez kontroli pensyi swoim ulubieńcom, nie nagradzając prawdziwych zasług.

Nie dość na tem, wyraźnie wskazuje na rychłą ruinę szkoły z powodu rozrzutnej gospodarki i w tym względzie bodaj największą miał słuszność. Gałęzowski dokupywał grunta, budował gmachy szkolne i choć wzrastała i liczba uczniów i świetny wygląd zakładu, ale długi też rosły.

Zjadliwa broszura Ostrowskiego nie mogła mieć dostatecznej powagi wśród emigrantów, dla mocno skompromitowanej osoby autora, na którym leżało, stwierdzone potem, podejrzenie, że był szpiegiem na francuskim żołdzie; piśmidło jego miało jednak ten skutek, że Gałęzowski nabrał przekonania, iż posiada w szkole nieprzyjaciela w osobie Klimaszewskiego. Było to poniekąd prawdą, gdyż utylitarny i lojalny kierunek Gałęzowskiego był wprost przeciwny idealistycznym, prawie fanatycznym ideom polskości Klimaszewskiego i zatargi były między nimi ciągle o szczegóły i kierunek.

Przytem „Klimasz,“ przy zacności nie odznaczający się wielkim taktem, rozdał uczniom broszurę Ostrowskiego — Gałęzowski więc korzystał z tej sposobności, by usunąć go z zajmowanego od lat 6-ściu stanowiska. Klimaszewski broni się jak może i umie — zaprzecza solidarności z Ostrowskim, protestuje przeciw zarzutom czynionym sobie i wylicza swoje niepoślednie istotnie zasługi, oraz kolosalną pracę, której dokonywał, dając po 600 — 800 godzin lekcyj rocznie bez żadnego wynagrodzenia, załatwiając korespondencję i pracując całą duszą nad wzbudzaniem uczuć patriotycznych w powierzzonej sobie młodzieży.

Zarzuca Gałęzowskiemu, że dla materyjalnej strony szkoły poświęca, „co jest gruntem i podstawą wychowania młodzieży polskiej,“ oraz stawia poważniejsze zarzuty: chęć trzymania u siebie księgi kwitów, robienie wydatków bez wiedzy i zezwolenia Rady, ciągnięcie dla siebie korzyści ze szkoły, a nadewszystko kierunek coraz bardziej rządowy, francuski z zacieraniem cech polskości. O ile i w jakim stopniu miały te zarzuty słuszność, tru-

dno dociec, gdyż Gałęzowski nie odpowiedział na nie wcale, a Klimaszewski został usunięty.

Stary profesor udał się do Marsylii i tam żył z pracy biurowej. Gdy w 1858 r. odwiedzał go dawny uczeń wileński J. J. Kraszewski, z zalem we wspomnieniu umieszczonem w „Kraju“ (rok VII, t. 12) opisuje, że znalazł człowieka złamanego i spaczzonego kolejami życia, mającego myśl skierowaną tylko ku przeszłości, a w teraźniejszości zajmującego się poziomymi drobnostkami biurowego życia. Umarł w 1875 r. na południu Francji, w bardzo skromnych warunkach materialnych.

Od owej chwili aż do swojej śmierci w 1878 r. Gałęzowski staje się Panem sytuacji i dyktatorem szkoły. Nauki zresztą, trzeba oddać tę sprawiedliwość, idą dobrze i zakłady francuskie rządowe, do których zdają uczniowie polscy egzamina, wystawiają im chlubne świadectwa.

W 1855 r. nadchodzi wstrząsająca wieść o nagłej śmierci Adama Mickiewicza w Konstantynopolu; uczniowie przywdziewają żałobę narodową i udają się *in corpore* na pogrzeb, podczas którego Bohdan Zaleski wygłasza natchnioną mowę, wzruszającą wszystkich obecnych.

Dyrektorem jest znów Malinowski, zawsze pełen skrupułów i niepewności, czy zdoła spełnić powierzone sobie obowiązki; Karol Sienkiewicz wykłada historję polską, B. Zaleski i Poniński gramatykę i literaturę.

Nie brak więc działwie batiniolskiej zachęty do ukochania dalekiej ojczyzny i to z niepoślednich ust.

W latach 1859 — 1860 uczniowie odnoszą świetne tryumfy na konkursowych egzaminach w Sorbonie: Mękowski otrzymuje złoty, Gasztowtt srebrny medal jako też Piliński, brązowy Ratajski.

W roku 1861 dwa po sobie następujące pogrzeby ks. A. Czartoryskiego i Lelewela dają Emigracji sposobność do obchodów i manifestacyj, których znaczenie wzmacniają wieści z kraju o przygotowaniach do nowego wybuchu. Wszystko napręża się w potwórnem oczekiwaniu, uczniowie przejęci bądź co bądź atmosferą niepokoju i wzruszenia starszych, bardziej skłaniają się ku nauce polskiego języka. „Najgorętsi nie mówili inaczej, jak po polsku poza klasą“ — wspomina jeden ze współczesnych uczniów, Gasztowtt. Nauki francuskie idą jednak dobrze: Klaczko wygłasza na uroczystości rozdania nagród mowę piękną i wzniosłą, w której mówi o doli sieroczej Polaków-Emigrantów i o konieczności wyrabiania w sobie mocy ducha, odpowiedniej losom tułaczym.

Dnia 23 stycznia przychodzi telegraficzna wiadomość o wybuchu powstania i wnet powtarza się to samo, co w 1848 r. Profesorowie: Bohdanowicz, Krosnowski, Sosnowski i Waligórski wyruszają do kraju. Niebawem wyruszają, żegnani zachwytem młodszych, uczniowie starszych klas.

Niewielu ich wróciło.

Lasy litewskie lub pola mazowieckie przyjęły te dzieci swoje, urodzone na obczyźnie i wrócone Polsce, po to, by jej oddać życie—nie by w niej żyć—ale tylko, by w niej umrzeć. Nic już więcej zrobić nie byli w stanie.

Powtórnie garstka dzieci emigranckich oddała się ojczyźnie, poznanej dopiero w chwili walki i katastrofy, nie wrócił nikt: żywych zamknął grób Syberyi, umarłych uczcili rodacy wspomnieniem krótkotrwałem.

Pozostali uczniowie zadawalniające mimo rozstroju czynią postępy w naukach. Patriotyczne śpiewy, musztra, opowieści o walkach zapełniają im rekreacje.

W 1863 r. Wołowski na popisie dorocznym w natchnionej mowie wielbi Rząd Narodowy i ogłoszone przez niego zrównanie stanów i religii. „Wolność osobista i narodowa — woła — pozostanie aureolą chwały tego momentu naszej historii.“

Nadchodzą wieści z Warszawy o klęskach krajowych, budząc na nowo współczucie i łzawy zachwyt... w literaturze. Uczniowie batiniolscy dostają napisany dla siebie patetyczny, długi a nudny poemat *Maximilienne du Laulchoy née de Montbar*, będący wyrazem uczuć wyższych sfer, w których egzaltowane damy starają się wywrzeć nacisk u dworu i przez cesarzową Eugenię wpłynąć na Napoleona III, by śpieszył na pomoc Polakom. Piękna cesarzowa przy kontredansie spiskuje z Metternichem na korzyść „tego bohaterskiego kraju,“ ulubionego konia nazywa Langiewiczem i wspiera składki. Jaques Fernand ckliwie pisze wiersze, pełne okrzyków na cześć Polski, w pamiętnikach ówczesnych czytamy wyrazy istotnego żalu i litości nad ofiarami przemocy.

Jesteśmy znów modni i to nietylko we Francyi, w żurnalach mód i na deskach teatrzyków, ale także w gabinetach ministeryalnych i królewskich. Od moralnego jednak zadośćuczynienia poczuciu sprawiedliwości i ludzkości, do poparcia tych uczuć orężem — daleka droga.

Wyczekująca garść rozbitków nad Sekwaną, gotująca się lada dzień niemal do powrotu „na ojczyzny łono,“ zamiast spodziewanej interwencji koalicji europejskiej i ogłoszonej w kraju

swobody, widzi nadpływające nowe fale Emigracyi, gorzej złamanej, bardziej beznadziejnej, niż kiedy.

Nadzieja gromadnego powrotu staje się jakąś mglistą legendą, którą wszyscy szanują, choć w nią nikt już nie wierzy. Odbicie tych wrażeń na szkole batiniolskiej daje się uczuć może mimowoli kierowników.

Gałęzowski czyni starania u rządu i owocem ich jest dekret, podpisany przez Napoleona III, uznający szkołę za „zakład użytku publicznego,” t. j. dający mu prawomocną sankcję. Program jej istotnie nie różnił się w niczem od liceów francuskich, prócz wykładów języka polskiego, który coraz bardziej stawał się dla wychowawców zakładu językiem naukowym sztucznym.

Pod innymi względami atoli, interesa szkoły i jej rozwój postępują pomyślnie; przez pięć lat następnych Gałęzowski ratuje się w wydatkach składkami, zbieranemi w kraju i niemi *tant bien que mal* zażęgnywa materyalne niedobory.

Uroczyste rozdawanie nagród z nauk polskich odbywa się zwykłym trybem przy akompaniamencie mniej lub więcej wzniosłych zdań o miłości ojczyzny polskiej i francuskiej.

Wybucho wojna 70 roku.

Uczniowie zbierają składki na rannych, obiecują sobie w razie zbliżenia się nieprzyjaciela stanąć w szeregach i bronić Paryża od wspólnego wroga Prusaka.

Kto żyw z Emigracyi, ulegając rycerskim instynktom Polaka, rzuca się w wir wojny, pragnąc pokazać Francuzom, jak się za przyjaciół walczy.

Układa się samodzielny, emigrancki batalion pod wodzą generała Kruka, Trochu jednak nie chce go zatwierdzić i wlicza Polaków do gwardyi narodowej (garde nationale). Inni rozpraszają się w korpusy *frantirerów* i biją się ramię w ramię z Francuzami, przelewając za nich krew poraz który?!... Część powstańców z 63 r., pod wodzą swego generała z polskiego powstania Rochebrun, padają z nim co do jednego na wałach fortu Montretout. Dąbrowski Jarosław wiedzie do boju cudzoziemców i rodaków i wstawia się na barykadach nieustraszonem męstwem.

Wśród bohaterskich walk, złączonych w braterskiem uczuciu przeciw wspólnemu wrogowi, rozchodzi się straszna wiadomość o kapitulacyi Paryża. Zawrzało. Nie po to zniesli tyle dni głodu i chłodu, nie po to marły kobiety i dzieci z niedostatku, by, mogąc się bronić jeszcze, oddać miasto na hańbę.

Paryżanie, wściekli, rzucają się do walk ulicznych. Polacy z nimi, wszędzie ich pełno. Niestety, bratobójcza walka Francu-

zów staje się taką i dla Polaków, oni też, łącząc się stosownie do swych przekonań politycznych i pojęć o obowiązku, zostają to w korpusach wojska regularnego, t. j. wersalczyków, to rzucają się do bitwy na ulicach, na barykady, mordując się wzajem.

W morzu krwi utonęła Komuna. Wystrzelowano setkami komunardów, ilu ich zginęło z ręki rodaków, tego oficjalna lista nie podała nigdy. Struga francuskiego złota popłynęła ku tryumfującej Brandenburgii, by wzbogacić państwo „bojaźni bożej.“

Jakież przez tę epokę zawichrzeń, pożarów i krwi, są losy szkoły batiniolskiej?

Przebywa ona epokę oblężenia, przymierając z głodu, jedząc koty, upolowane na własnych strychach, chorując po trochu, nie ucząc się oczywiście prawie nic, ratowana od napaści Komuny i represyj wersalczyków przez stoicznego zawsze i pełnego zimnej krwi Malinowskiego. Ale po zawarciu pokoju sytuacja zakładu okazuje się rozpaczliwa.

Dochody urwały się zewsząd: z Polski, zubożałej ostatniem powstaniem, nie nadchodziło nic prawie. Rząd francuski pod pozorem, że Polacy należeli do Komuny, w gruncie z powodu złego stanu finansów, odmówił dawnej zapomogi. Długi wskutek ryzykownych zakupów i powiększeń, zrobionych przez Gałęzowskiego, wzrosły do 200,000 przeszło. Uczniów zaś było coraz mniej, w r. 1871 jest ich 95, w następnym już tylko 75-ciu.

Narazie wydaje się, że niema innej rady, tylko zamknąć szkołę, której byt zaczynał się stawać bezcelowy, bowiem fala emigracyjna ustała, pojedyncze jednostki przybywały do Paryża na czas krótszy, bez zamiaru zakładania ogniska domowego, zaś te rodziny, które się za trzema napływami wychodźców utworzyły, o ile nie wysyłały swych dzieci do kraju, francuziały bez ratunku, ulegając naturalnym wpływom otoczenia.

Przez lat 30 (od 1842 — 1872) wyszło ze szkoły owej 1261 uczni, rozeszli się oni w różne kategorye zajęć, mało wróciło do kraju i to ci tylko, których tam uniosła burza polityczna. Reszta dała Francji 73 inżynierów, 31 profesorów, 36 doktorów, 12 adwokatów, 127 wojskowych, 234 urzędników kolejowych, 247 handlowców.

Grono jednak ludzi, zarządzających szkołą batiniolską, a mianowicie Gałęzowski, nie chciał przez ambicję, czy poszanowanie widma tradycji, zlikwidować zupełnie jej istnienie. Po wielu zabiegach i kłopotliwych staraniach u zarządu miasta, sprzedano mu wreszcie gmachy szkolne i grunta za 700,000 fr., co było za bezcen, lecz nie było sposobu czekać na lepszego kupca.

Szkołę, zredukowaną do szczuplejszych rozmiarów, przeniesiono na Lamandé, gdzie się i teraz znajduje. Bibliotekę, zbyt wielką na szczupły lokal, zabrał hr. Działyński, jako depozyt do Kórnika.

Otwarto więc w r. 1872 szkołę polską w bardzo zmniejszonym personelu nauczycieli i uczniów i przy zastosowaniu różnych środków oszczędności, rozpoczęła ona nowy okres swego istnienia. Dyrektorem i duszą zakładu był Malinowski. Surowa i sucha rutyna, którą się kierował, nie mogła się przyczynić do wielkiego rozwoju szkoły, powoli schodziła ona do rzędu zakładu dobroczynnego, rodzaj przytułku, gdzie przyjmowano dzieci od lat 6-ciu, oddawane przez rodziców pod firmę polską, by im w ten sposób bezpłatnie lub bardzo tanie zapewnić wychowanie i utrzymanie.

Ogromne oszczędności, wprowadzone przez Malinowskiego (pozbawienie gimnastyki i spaceru, zniesienie uroczystego rozdawania nagród), coraz bardziej zacieśniały zakres programu szkolnego. Egzamina w liceach francuskich przechodzą jednak nieźle, powoli też wracają uroczystości szkolne, mowy na zakończenie roku etc. W r. 1877 wmurowują w gmach szkoły dwie tablice pamiątkowe na cześć uczniów, zmarłych w boju za Polskę i za Francję.

Odbywają się kolejno wręczenie Malinowskiemu oznak wraz z tytułem oficera akademii za 35 lat służby w dziedzinie pedagogii, następnie na dziedzińcu szkoły staje pomnik dla Gałęzowskiego, przez byłego ucznia szkoły Godebskiego robiony, a mający wyrażać wdzięczność dzieci emigranckich temu, który przez tyle lat zajmował się ich losami.

Powoli umierają dobrodzieje szkoły i jej opiekunowie: Bronisław Zaleski, Malinowski w r. 1890, żegnany uroczystym pogrzebem pragnących uczcić tyloletnią pracę starca. Obecnie więc szkoła batiniolska, rzec można, zakończyła już swoje istnienie. Oddała ona te usługi, jakie oddać mogła, i z biegiem czasu, jak wszystkie rzeczy, powstałe wskutek pewnych okoliczności, przeżyła się, gdy znikły powody, dla których była utworzoną, i zmieniły się pod wpływem lat warunki, będące podstawą działania. Nie może już sobie robić złudzeń nikt, znający te stosunki: szkoła batiniolska dzieci polskich już nie wychowa i wychować nie może.

Procent Emigracyi, trwający przy polskości, powrócił do kraju bodaj w drugim pokoleniu, starsze wymarło, pozostali potomkowie musieli, z natury rzeczy, zasymilować się z otoczeniem

i, przyjąwszy obywatelstwo zamieszkanego kraju, stać się także duchem obywatelami Francji. Szkoła więc stała się istotnie zakładem dobroczynnym, gdzie przez uszanowanie tradycji, wychowują dzieci związkami krwi lub wspomnieniem złączone z dawną Emigracją, ale z polskością nie mające już nic wspólnego, prócz może w nielicznych wypadkach zachowania znajomości języka polskiego i pewnych sympatyj polskich.

Zachodzi obecnie pytanie, czy należy fundusze, których cel był „wychowanie na obczyźnie Polaków dla Polski,“ obracać na taką szkołę, jaką jest obecnie zakład przy ulicy Lamandé?

Już przed laty 10 wyszła broszura Choromańskiego, ostro powstając przeciw takiemu zбочzeniu celów zakładu polskiego na obczyźnie. Autor, którego pseudonim kryje podobno jednego z lwowskich literatów, trzyma się tonu polemiczno-agresywnego w całej broszurce, a w końcu wzywa społeczeństwo do wystąpienia energicznie przeciw nadużyciom, popełnianym przez opiekunów i zarządzających szkołą.

Rozbieranie w szczegółach, o ile są słuszne, należałoby do jakiejś komisji kontrolującej czy likwidacyjnej, a rzecz jest tego rodzaju, że właściwie niewiadomo, kto ma o losach szkoły decydować?

Spółeczeństwo? Prasa? Wyrazy to zbyt ogólnikowe. Właściwie mi się zdało, że kompetentne w tej mierze mogłyby być Towarzystwa naukowe polskie, w porozumieniu z miejscowymi ludźmi, wybranymi z pośród starszego pokolenia zamieszkałych w Paryżu Polaków.

Kto jednak ma wybrać taką komisję i upoważnić ją do działania? Sądzę, że ci właśnie, do których po dziś dzień zarząd i kierunek szkoły należą. Nie powinni oni ze względów osobistych, materyalnych korzyści, pozwolić na dalsze trwanie instytucji, naturalnym biegiem wypadków spaczonyj w swych celach. Podczas, gdy, jak powiadam, szkoła batiniolska stała się przeżytkiem, nie przynoszącym polskości żadnej korzyści, inna natomiast potrzeba dla *obecnych* wychodźców polskich w Paryżu gorąco czuć się daje i na nią mogłyby pójść fundusze, przeznaczone „na utrzymanie w Polakach na obczyźnie ducha narodowego.“

Obecne wychodźstwo polskie w Paryżu obejmuje, 1-o sferę inteligentów, potrzebujących oczywiście nieraz zapomogi w różnych formach i mogących korzystać z licznych (nie dość licznych) stypendyów, przysługujących im, oraz 2-o z robotników, przybywających już to dla zarobku, już to dla udoskonalenia się w fachu (głównie krawieckim, kapeluszniczym i ornamentacyjnym).

Obie te fale polskie są w Paryżu żywiołem krótko bytującym, tak, że nawet emigracyjnym nazwać go niemożna.

Ucząca się młodzież, przyjeżdżająca po skończonych niższych, a często i wyższych studyach w kraju, strawy duchowej polskiej nie potrzebuje, gdyż nie po to tu przyjeżdża. Wreszcie odnaleźć takową może ile razy chce w Bibliotece Polskiej.

Inaczej się rzecz ma atoli z żywiołem robotniczym, który, przybywając do stolicy Francji bez znajomości języka miejscowego, a ze słabą na ogół kulturą, traci na tem materyalnie, w stosunku do bardziej wykształconych sfer robotniczych francuskich, umysłowo zaś nie rozwija się tak, jakby mógł lub chciał, popularne bowiem wykłady np. w U. P. (Université Populaire) są mu niedostępne aż do czasu opanowania języka, a polskiej instytucji tego rodzaju niema.

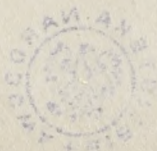
Parę razy czyniono próby organizowania rodzaju wolnego uniwersytetu polskiego o programie popularnym, a niejednokrotnie odzywano się o potrzebie posiadania stałego lokalu, przeznaczonego na polskie wiece, odczyty, teatry, koncerty albo i bale nawet. Zamiast wynajmowania przeróżnych sal kawiarnianych, nie zawsze charakterem i miejscem odpowiadających zadaniu, wszystkie Towarzystwa polskie w Paryżu, a jest ich obecnie, o ile wiem, z dziesięć, mogłyby opłacać lokal we własnym *Domu polskim*, któryby, prócz podobnej sali używalności przygodnej, łączył w sobie stowarzyszenie w typie uniwersytetu dla wszystkich o stałych, popularnych wykładach wieczorami, lekcjach francuskiego i polskiego i odpowiedniej bibliotece polsko-francuskiej.

Sądzę, że utworzenie takiej instytucji odpowiadałoby najlepiej jeśli nie w formie, to w treści, idei, założycieli szkoły polskiej i dlatego na ten cel pozostałe jej fundusze pójść powinny.

Do prasy należy zwrócić uwagę społeczeństwa polskiego na tę okoliczność i wpłynąć na uprawomocnionych opiekunów szkoły, by zmienili jej program w zastosowaniu do dzisiejszych potrzeb żywiołu polskiego na obczyźnie.¹⁾

HEL. ROMER-OCHENKOWSKA.

¹⁾ Stan obecny szkoły przedstawia się, jak następuje: uczniów 34 (24 internes, 10 externes) zapomoga od rządu 20,000 fr.—fundusz żelazny 300,000—są też zapisy stypendyalne i biblioteka 22,000 tomów, znajdująca się przeważnie w Kórniku, zabudowania i place szkolne przedstawiają wartość kilkuset tysięcy franków.



PIERWIASTKI MORALNE

w życiu społecznem.

Nazwą etyki społecznej oznaczamy te pierwiastki życia gromadnego, które w formie pewnych norm, nakazów i sądów w najszerszych granicach regulują życie członków każdego społeczeństwa, określają ich wzajemne względem siebie obowiązki i tym sposobem koordynują stosunek każdego pojedynczego osobnika do reszty członków współżycia. Ponieważ ta koordynacja indywidualnych interesów może mieć miejsce tylko w warunkach współistnienia i współdziałania, więc też owe pierwiastki etyczne mogą wykwitać jedynie na gruncie życia społecznego. Im wyższe formy ono przybiera, im bardziej się rozrasta, im silniej spaja swych członków wzajemną wymianą usług, tem wyżej rozwija się również pierwiastek etyczny, tem gęstszą siecią norm, obyczajów, opinij i sądów oplątuje życie każdego osobnika.

Sfera bowiem działania etyki zawsze z natury rzeczy ściśle stosuje się do granic współżycia.

Dopóki związek ogarnia niewielką liczbę jednostek, stosunki między niemi układają się w prosty, nieskomplikowany sposób, a przeto nie potrzebują szerokiej reglamentacyi. Gdy jednak związek ten się rozszerza a stosunki się komplikują, reglamentacya ta musi wzrastać, bo tylko dzięki niej staje się możliwe współżycie oraz urzeczywistnienie porządku społecznego.

Zawiązkiem społeczeństwa była rodzina.

Na gruncie życia rodzinnego wyrasta też załazek etycznego postępowania. Nawet wśród ras ludzkich, żyjących na najniższych stopniach kulturalnego rozwoju, łatwo dostrzedz pierwiastki etyki rodzinnej. „Odnajdujemy je—mówi Tylor—w cierpliwej czułości



20 zblotów
po 8. p. Czolowskim





15 14 182

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001020067012